

JAN CISAŁ

**POLSKIE WYPRAWY POLARNE W MINIONYM 70-LECIU
INSTYTUTU GEODEZJI I KARTOGRAFII
Z PERSPEKTYWY WSPOMNIENI PRACOWNIKÓW**

Świętując 70-lecie Instytutu Geodezji i Kartografii, wspominamy także aktywność jego pracowników w dziedzinie badań polarnych. Pisząc te wspomnienia – jako uczestnik wypraw i pracownik IGiK – korzystam więc z okazji, aby ocalić od zapomnienia mój i naszych kolegów udział w polskich wyprawach polarnych.

Publikując prace naukowe, pozostawiamy po sobie dorobek naukowy w większym lub mniejszym stopniu przydatny naszym następcom. W pracach naukowych nie znajdziemy jednak historii i trudności zdobywania materiału do ich napisania. W wypadku badań polarnych nie znajdziemy też opowieści o problemach codziennego życia i przygód prowadzących do sukcesu naukowego. O osiągnięciach naukowych niech więc świadczą publikacje, ten tekst niech zaś będzie przywołaniem przygód i przeżyć z czasu tamtych wypraw. Wspomnienia te opieram na zasadzie zawartej w tytule wydanej kilka lat temu książki naszego kolegi i przyjaciela Jerzego Jasnorzewskiego *Spitsbergen bez retuszu*. Część z nich będzie wiernym odtworzeniem opowiadań kolegów, część relacją moich osobistych przeżyć. Pisząc o udziale pracowników IGiK w wyprawach i o ich problemach, starałem się zachować porządek chronologiczny. Niestety, wielu z naszych kolegów – polarników – już odeszło. Nie poznamy już ich bezpośrednich relacji. Byli to: Jerzy Jasnorzewski, Wojciech Krzemiński, Seweryn Mroczek, Tadeusz Gaertig, Zbigniew Drożdżewski. Spośród żyjących Witek Mizerski wyemigrował i jest z nim trudny kontakt. Często spotykam się jednak z emerytami Instytutu: Marią Dobrzycką i Staszkiem Dąbrowskim, a w Instytucie oprócz mnie pracuje nadal Marcin Sękowski. Wszyscy wymienieni byli uczestnikami polskich wypraw do Arktyki lub Antarktyki. Niektórzy byli w obu rejonach polarnych.

Pierwsza wyprawa, w której uczestniczył docent Jerzy Jasnorzewski, przyszedł pracownik IGiK, wyruszyła na Spitsbergen pod kierunkiem znanego geologa Stanisława Siedleckiego w czerwcu 1957 roku. Była to pierwsza powojenna wyprawa. Jej głównym celem było zbudowanie stacji, w której polarnicy mogli przebywać i prowadzić prace naukowe zarówno w lecie, jak i w zimie. Jerzy Jasnorzewski bardzo czynnie brał udział w pracach budowlanych, a w pogodne noce prowadził obserwacje gwiazd, z których wyznaczył pozycję zbudowanego obok stacji słupa. Prowadził przy tym notatki, opisując wydarzenia i zachowania kolegów dzień po dniu.



Jerzy Jasnorzewski przy teodolicie
Wild T4

Po powrocie z wyprawy z pomocą żony Haliny notatki te opracował i przygotował do druku z zamiarem wydania książki. Jak wspomniałem, zatytułował ją *Spitsbergen bez retuszu*. Recenzentami byli niektórzy członkowie wyprawy i według nich książka nie nadawała się do publikacji. Jednak po latach opinia o książce zmieniła się i można było podjąć próbę jej wydania. Wspólnie z kolegami z Pracowni Metrologii Geodezyjnej IGiK, którą Pan Jerzy z nami tworzył: Marią Dobrzycką, Danusią Włodkowską, Helenką Bieniewską, oraz przy pomocy syna Pana Jerzego Macieja Jasnorzewskiego, przygotowaliśmy książkę do druku, ze zdjęciami, zaprojektowaną okładką i opracowaną przedmową. Maszynopis ze zdjęciami złożyliśmy w wydawnictwie „Sport i Turystyka”. Niestety, przemiany w 1989 roku spowodowały upadek wydawnictwa i choć wydaje się to niemoż-

liwe, wszystkie złożone tam wówczas, oryginalne materiały niestety, zaginęły.

Dopiero w 2011 roku trzech uczestnicy następnych wypraw spitsbergeńskich: Adam Krawczyk, Zbyszek Pietroń i ja, z uwagi na wciąż aktualną treść książki, postanowiliśmy dokończyć dzieła. Tekst książki nie był już wówczas czysto autorski, zachowała się bowiem tylko jego opracowana wersja. Przeszedł przez ręce redaktorów, polonistów i historyków wypraw polarnych, którzy stępił cięty język Pana Jerzego oraz złagodzili bezkompromisowe często opisy zachowań członków wyprawy zimującej. Mimo to książka zachowała swój główny walor – opis codziennego życia nielicznej grupy ludzi na stacji polarnej w otoczeniu nieprzyjaznej przyrody. Książka ukazała się w niewielkim nakładzie praktycznie prawie całkowicie sfinansowana prywatnie. Wyraźnie ciążyące nad nią fatum spowodowało jednak, że gdy nakład się wyczerpał i chcieliśmy wydać ją w poprawionej wersji, okazało się, że i to wydawnictwo upadło i nie jest to możliwe bez poniesienia ponownie całości kosztów.

Dlaczego tak dużo piszę o tej książce? Częściowo dlatego, że problemy z jej wydaniem pokazują, jak trudno niekiedy przebić się z opowieścią dotyczącą rzeczywistych wydarzeń i zachowań. Najważniejsze jest jednak to, że pokazuje ona prawdziwe życie ludzi pozostających w wielomiesięcznej izolacji, w trudnych warunkach, w gronie tych samych osób, często o innych zwyczajach i poglądach. Chcąc poznać to życie i pracę w warunkach polarnych, koniecznie trzeba zapoznać się z tą książką.



Grupa zimowników wyprawy 1958/59. Na zdjęciu od lewej: Wiesław Wiśniewski (astronom), Roman Trechciński (elektronik, mechanik, jonosferyk), Lars Fasting, Stanisław Siedlecki (kierownik, geolog), Jerzy Jasnorzewski (geodeta), Zdzisław Czepe (glacjolog), Ryszard Bajer (radiooperator), Tadeusz Makarewicz (meteorolog), Maciej Zalewski (kucharz, hydrolog), Stanisław Baranowski (glacjolog)



Okładka książki Jerzego Jasnorzewskiego

Wyprawa z 1957 roku, zorganizowana w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego, przyniosła szereg efektów naukowych. Geodeci, jak zwykle pierwsi na placu budowy i pierwsi w badaniach geodynamicznych, również wtedy nie zawiedli. Jerzy Jasnorzewski wyznaczył pozycję usytuowanego obok stacji słuza z obserwacji astrometrycznych, Cezary Lipert wykonał wiele naziemnych zdjęć fotogrametrycznych, a Jerzy Fellmann prowadził prace geodezyjne, kontynuowane w kolejnych wyprawach przez Tadeusza Gaertiga z Instytutu Geodezji i Kartografii.

W 1958 roku została zorganizowana pierwsza samodzielna polska wyprawa antarktyczna. Kierownikiem wyprawy został Wojciech Krzemiński – długoletni pracownik IGiK. Wyprawa miała charakter rekonesansowy. Uczestnicy najpierw dotarli na statku do radzieckiej stacji Mirnyj skąd śmigłowcami polecieeli ponad 350 km do Oazy Bungera. Głównym zadaniem wyprawy było przejście radzieckiej stacji Oazis, przekazanej Polskiej Akademii Nauk na mocy porozumienia z Akademią Nauk Związku Radzieckiego. Stacja została nazwana imieniem Antoniego Bolesława Dobrowolskiego, uczestnika wyprawy w latach 1897–1899 na statku Belgica. Zadaniem naukowym wyprawy było wyznaczenie wartości przyspieszenia ziemskiego na stacji aparaturą czterowahadłową – najbardziej dokładną w tamtym czasie.

Uczestnikami wyprawy byli też m.in. Alina i Czesław Centkiewiczowie, znani autorzy książek o tematyce polarnej. Czesław prowadził obserwacje meteorologiczne, Alina była obserwatorem, publicystką. Ze względu na brak miejsca w śmigłowcu wiozącym jedynie kierownika i grupę naukową Alina nie była na stacji. Pozostała w radzieckiej stacji Mirnyj. Miała za to wiele pretensji i żalu do kierownika wyprawy. Z własnego doświadczenia wiem, że takie decyzje mogą być źle przyjmowane przez uczestników wyprawy, ale konieczne z innych niezależnych względów. Po wyprawie, w 1960 roku, państwo Centkiewiczowie wydali razem dwie książki o Antarktydzie: *Kierunek Antarktyda* i *Tajemnice szóstego kontynentu*.

W latach 1962–1975 wyraźnie spadło w kraju zainteresowanie wyprawami polarnymi. Skończył się Międzynarodowy Rok Geofizyczny, brak było pieniędzy i dewiz. Jedynie Uniwersytet Wrocławski organizował niewielkie wyprawy na Spitsbergen pod kierunkiem Stanisława Baranowskiego i Alfreda Jahna. Stacja na Spitsbergenie podupadła, bez remontów i gospodarza. Mieszkali w niej traperzy z psami. Prawdziwy rozwój polskiej polarystyki nastąpił dopiero w latach 1975–1976. Ponoć ówczesny Przewodniczący Rady Państwa PRL, prof. Henryk Jabłoński, rozumiał znaczenie badań polarnych i zapalił zielone światło dla ich rozwoju. Pomijając intencje władz, trzeba stwierdzić fakt, że stacja w fiordzie Hornsund na Spitsbergenie została w tym czasie reaktywowana. Przeprowadzono w niej remont. Dobudowano pomieszczenia magazynowe i część mieszkalną dla uczestników wypraw letnich. W tym samym czasie nastąpił rozwój polskiej aktywności w Antarktyce. Propaganda PRL wiązała to – wobec braku mięsa na rynku – z możliwością zdobycia białka zwierzęcego z kryła antarktycznego. Jego zasoby w wodach antarktycznych oceniano na bardzo duże. Rozpoczęto budowę stacji

w Antarktyce na Wyspie Króla Jerzego, w archipelagu Szetlandów Południowych. Stacja miała być miejscem badań naukowych i jednocześnie bazą zabezpieczającą rybaków statków łowiących ryby antarktyczne i kryl. W organizowaniu pierwszej wyprawy antarktycznej i zdobyciu funduszy pomógł również dyrektor Instytutu Ekologii PAN prof. Romuald Klekowski (zmarły 5 maja 2015 roku, w dniach, gdy piszę te słowa). W lecie, na przełomie lat 1976 i 1977 powstała stacja, której nadano imię Henryka Arctowskiego, drugiego Polaka, uczestnika wyprawy de Gerlacha na statku Belgica. Niekwestionowanym twórcą Stacji Henryka Arctowskiego i programu naukowego prowadzonego do dziś na stacji jest prof. Stanisław Rakusa-Suszczewski.

W 1977 roku w drugiej już wyprawie do Stacji Henryka Arctowskiego wziął udział, wówczas już pracownik IGIK, Jerzy Lech Jasnorzewski. Mając 71, lat był najstarszym, ale może też i najzdrowszym uczestnikiem wyprawy. Bez żadnych zastrzeżeń przeszedł wszystkie, obowiązkowe przed wyprawą, badania i testy lekarskie w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej. Pan Jerzy swój stan zdrowia fizycznego i psychicznego zawdzięczał ascetycznemu trybowi życia, a przede wszystkim, jak twierdził, głodówkom, których był gorącym propagatorem. Potrafił nic nie jeść nawet przez 4 do 5 tygodni. Jedynym dopuszczalnym pożywieniem dziennym była wówczas łyżeczka miodu z wyciśniętym i odfiltrowanym sokiem z cytryny. Oczywiście wodę można było pić do woli. Jako jego wierny uczeń i przyjaciel musiałem również spróbować działania głodówki. Przez 14 dni stosowałem się do wszelkich zaleceń i mogę szczerze powiedzieć, że czułem się dobrze i nic mi się nie stało. Może dlatego, że byłem młody i zdrowy. Teraz, będąc już w wieku bardzo dojrzałym i cierpiąc na różne dolegliwości, myślę o powtórzeniu głodówki, ale decyzję, niestety, wciąż odkładam na później.

W czasie wyprawy pan Jerzy wybudował słup do pomiarów astronomicznych i próbował wykonać podobne pomiary jak na Spitsbergenie. Stacja Henryka Arctowskiego ma jednak bardzo specyficzny klimat z bardzo małą liczbą dni i nocy pogodnych. Ten rok, a właściwie tylko lato antarktyczne było szczególnie ubogie w rozgwieżdżone niebo. Nie udało się zrobić ani jednej serii pomiarów dla wyznaczenia dokładnej pozycji z obserwacji gwiazd. Przybliżoną pozycję, nie nadającą się do ewentualnych badań geodynamicznych, wyznaczył z kilku serii obserwacji Słońca. Mając sporo czasu, pomagał wszystkim w ich pracach służąc radą i doświadczeniem. Jako jeden z pierwszych pobiegł ratować kolegów, Stanisława Baranowskiego i Krzysztofa Birkenmajera, którzy w czasie snu ulegli zatruciu gazem z nieszczelnej butli. Mimo pomocy lekarskiej udzielonej na miejscu w Polskiej Stacji Antarktycznej im. H. Arctowskiego oraz w bazie argentyńskiej w Ushuaia na Ziemi Ognistej Stanisław Baranowski nie odzyskał przytomności. Podjęte następnie próby leczenia w Argentynie i w Polsce nie powiodły się. Po niespełna ośmiu miesiącach od wypadku zmarł 27 sierpnia 1978 roku. Szczęśliwie Krzysztofa Birkenmajera udało się uratować.

Pan Jerzy brał udział tylko w letniej części wyprawy i wrócił do kraju wiosną 1978 roku. Witając go na dworcu centralnym w Warszawie, pytaliśmy o wrażenie, jakie zrobiła na nim Antarktyka. Odpowiedź była natychmiastowa i krótka:

„skondensowany smród”. W tym czasie wybrzeże Zatoki Admiralicji w pobliżu stacji okupowały jeszcze stada słoni morskich, fok i pingwinów, które faktycznie wydzielaly intensywny zapach. Po latach ciągła obecność ludzi zmusiła zwierzęta do przeniesienia swoich legowisk w inne miejsca wybrzeża.

Dwadzieścia lat po pierwszej wyprawie do Oazy Bungera, w listopadzie 1978 roku wyruszyła ponownie wyprawa na kontynent Antarktydy. Jej kierownikiem i tym razem był Wojciech Krzemiński, a celem ta sama Stacja Antoniego Bolesława Dobrowolskiego. W wyprawie oprócz szefa uczestniczyli jeszcze dwaj pracownicy IGiK – Seweryn Mroczek, specjalista od pomiarów pola magnetycznego Ziemi i Jan Cisak, geodeta-astronom. Wyprawa miała charakter geodezyjny, ponieważ oprócz wymienionych już trzech geodetów z IGiK uczestniczyli w niej również Zbigniew Battke, topograf z Zarządu Topograficznego Wojska Polskiego oraz młody pracownik Wydziału Geodezji i Kartografii PW Andrzej Pachuta zajmujący się gravimetrią.

Wyprawa jeszcze przed wyruszeniem cieszyła się wielkim zainteresowaniem. Byliśmy zapraszani na spotkania w szkołach – uczniowie prosili o pamiętanie o nich w czasie wyprawy i przywiezienie pamiątek. Szczególne było przyjęcie przez uczniów szkoły podstawowej nr 5 imienia Antoniego Bolesława Dobrowolskiego na warszawskim Żoliborzu. Poproszono mnie tam o pisanie kroniki wyprawy. Dostałem wielką księgę, którą miałem codziennie wypełniać. Obiecałem i musiałem danego słowa dotrzymać. Codziennie pisałem notatki – dziennik wyprawy – w zeszytach. Po przyjeździe ręcznie przepisałem dziennik do otrzymanej księgi, uzupełniając go zdjęciami z wyprawy. Później szkoła zmieniła nazwę oraz charakter, i nie wiem czy moja kronika przechowała się. Pozostawiłem sobie kopię wykonaną z czarno-białych zdjęć każdej strony.

Przed wypłynięciem zostaliśmy również zaproszeni przez młodzież zebraną w kościele w Gdyni. Zainspirowani postawą młodzieży, postanowiliśmy pozostawić ślad Polski i naszej wiary na Antarktydzie – był to pierwszy rok pontyfikatu papieża Polaka, Jana Pawła II. Kupiliśmy ryngraf z polskim orłem i Matką Boską z zamiarem pozostawienia go w okolicach stacji.

Do brzegów Antarktydy, w okolice radzieckiej Stacji Mirnyj dotarliśmy na statku m/s Zawichost. Czas dotarcia do Antarktydy był tak wybrany, aby można było rozładować statek na tzw. przylepę lodową, coś w rodzaju lodowej rampy – lodowego nabrzeża tworzącego się w czasie długiej zimy nawet kilkaset metrów od właściwego brzegu. Niestety, wcześniej przyszły ciepłe i wietrzne dni, które spowodowały oderwanie się przylepy i rozbitcie jej na mniejsze bryły lodowe. Sytuacja stała się bardzo skomplikowana. Bez portu i dźwigów portowych wyładunek naszych śmigłowców spakowanych w wielkich skrzyniach na oblodzony wysoki brzeg stawał się trudny i niebezpieczny. Wraz z polarnikami rosyjskimi i załogą statku wymyśliliśmy specjalne sanie ciągnięte przez pojazdy gaśnicowe, na których udało się przetransportować w dobrym stanie jeden z dwóch naszych śmigłowców. Z drugim nie poszło już tak łatwo. Jedna z beczek, na której toczyła się skrzynia ze śmigłowcem, przekreśliła się i stanęła pionowo, przebijając podłogę skrzyni i podłogę śmigłowca. Rosjanie propono-

wali naprawę, uważając, że uszkodzenie jest niegroźne. Nasz pilot stwierdził jednak, że nie wsiądzie za stery takiego śmigłowca. Uznał to za przestrożę i postanowił tym samym statkiem wrócić do kraju. Również lekarze z Wojskowego Instytutu Medycyny lotniczej odradzali mu pozostanie ze względów psychologicznych.

Przy rozładunku sam przeżyłem chwile grozy. Pomagając ładować skrzynie i paczki z naszym sprzętem i żywnością na sanie, w pewnym momencie poślizgnąłem się na lodowym torze sań i zacząłem zjeżdżać prosto do wody między brzegiem a stojącym przy nim statkiem. Gdybym wpadł do wody, nie byłoby ratunku. Do dziś nie wiem, jak to się stało, że przed samym brzegiem udało mi się zatrzymać. Doświadczenie to było dla mnie dobrą lekcją na przyszłość, którą zapamiętałem i byłem bardziej ostrożny.

Rosjanie przyjęli nas bardzo serdecznie, szczególnie że przywieźliśmy spore zapasy żywności, której zaczynało im brakować. Zamieszkaliśmy w dużej hali magazynowej. Grupa techniczna składała śmigłowiec, a grupa naukowa pomagała Rosjanom w ich pracach. Ciekawa była reakcja naszego lekarza po zapoznaniu się z rosyjskim lekarzem i obejrzeniu skromnego ambulatorium stacji. Lekarz rosyjski nie miał wiele roboty, bo wszyscy byli zdrowi. Wykorzystywano go więc jako kierowcę pojazdów lub pomocnika mechanika. Gdy nasz lekarz zobaczył jego spracowane ręce, zadziałała wyobraźnia i strach, co by było, gdyby sam zachorował, na przykład na zapalenie wyrostka. W efekcie zaczął odczuwać urojone bóle brzucha i przygotowywać się do zrobienia samemu sobie operacji. Kierownik zastanawiał się, czy nie trzeba go odesłać do kraju. Na szczęście udało się go przekonać, że jest zdrowy i w końcu pozostał z nami. Jednakże przez cały czas widać było, jak boi się o nas przy każdym locie lub wyjściu poza stację. Humor i pewność siebie odzyskał dopiero wtedy, gdy wsiedliśmy na statek powrotny.

Po złożeniu naszego śmigłowca Mi2 udaliśmy się na pokładzie śmigłowców radzieckich Mi8 do polskiej stacji w Oazie Bungera odległej o blisko 370 km od stacji Mirnyj. Pilot Czesław Opoka wraz z mechanikiem przyleciał do stacji naszym śmigłowcem. Śmigłowiec miał służyć tylko do przemieszczania się po terenie Oazy i prowadzenia różnych prac naukowych. 20 stycznia 1979 roku, dokładnie 20 lat po pierwszej wyprawie, uroczyście wciągnęliśmy na maszt polską flagę. Rozpoczęły się prace naukowe i porządkowe w stacji. Seweryn Mroczek prowadził pomiary składowych pola magnetycznego Ziemi, w tym deklinacji magnetycznej. Ciekawostką jest wartość deklinacji, około minus 90°, oznacza to, że idąc za strzałką kompasu, będziemy szli na zachód, a nie na północ. Andrzej Pachuta mierzył przyspieszenie siły ciężkości w okolicach stacji, dzięki czemu powstały mapy anomalii Faye'a i Bouguera. Ja starałem się wyznaczyć pozycję astronomiczną metodą Kawrajskiego. Miałem do dyspozycji tylko teodolit Wild T2, który na dodatek uległ uszkodzeniu w trakcie pomiarów terenowych na lodowcu. Założyliśmy również mikrosieć dla wyznaczenia współrzędnych fotopunktów, a Zbyszek Battke wykonał szereg zdjęć fotogrametrycznych z pokładu śmigłowca.

Znaleźliśmy również miejsce na pobliskiej skale do zawieszenia przywiezionego ryngrafu. O ryngrafie i miejscu jego zawieszenia dowiedzieli się Australijczycy, którzy kilka lat temu, w pobliżu polskiej stacji założyli własną bazę. Otrzymałem nawet zdjęcia obecnego wyglądu stacji i stanu ryngrafu – po 30 latach od jego zawieszenia. Wygląda prawie tak jak go zostawiliśmy, jedynie wygrawerowany napis „W ROKU I-SZYM PONTYFIKATU JANA PAWŁA II” jest mniej czytelny.



Prace geodezyjne w okolicach Stacji im. A.B. Dobrowolskiego. Z lewej Seweryn Mroczek wykonuje pomiary magnetyczne. Z prawej Jan Cisak przy teodolicie i dalmierzu



Ze stacji musieliśmy wracać w trybie natychmiastowym ze względu na nadchodzące załamanie pogody. Połowę drogi między Stacją Dobrowolskiego a radziecką stacją Mirnyj przebyliśmy naszym śmigłowcem. Drogę tę śmigłowiec odbył kilkakrotnie, w bardzo trudnych warunkach meteorologicznych. Dalej czekał na nas, na lądolodzie, samolot Il-14, który dowiózł nas jednym kursem do radzieckiej stacji. Pilot z mechanikiem naszym śmigłowcem dotarli również do stacji Mirnyj, gdzie śmigłowiec został zapakowany do skrzyni i złożony na wiele lat. Pogoda faktycznie gwałtownie się zmieniła i przyjmowani gościnnie przez polarników z Mirnego czekaliśmy na przyplięnięcie polskiego statku m/s Gar-

nuszewski, wiozącego powracającą z Wyspy Króla Jerzego, w archipelagu Sze-
tlandów Południowych, pierwszą wyprawę prof. Suszczewskiego. Statek dotarł
do nas nieco uszkodzony przez coraz gęstsze lody w pobliżu stacji Mirnyj. Udało
się go jednak wkrótce naprawić. Odwiedzając kolejne porty i zabierając do ła-
downi różne towary statek dotarł wreszcie, w końcu maja, do portu w Gdyni. Obie
wyprawy witane były bardzo uroczyście.

Jednym z owoców wyprawy były dwie mapy okolic stacji w skalach 1:5 000
i 1:500. Na mapie 1:5 000 uhonorowaliśmy Alinę i Czesława Centkiewiczów,
nadając nazwę jednemu ze wzgórz Wzgórze Centkiewiczów. Wraz z głównym
autorem mapy Zbyszkciem Battke odwiedziliśmy z mapą państwa Centkiewi-
czów. Zostaliśmy przyjęci bardzo serdecznie i widać było, że zrobiliśmy im dużą
radość.



Mapa topograficzna części Oazy Bungera w skali 1:5000

Na Spitsbergenie, gdy Polska Akademia Nauk przejęła organizację badań
naukowych w ramach wypraw centralnych, rozpoczęły się w 1978 roku regular-
ne badania i systematyczne całoroczne wyprawy, które trwają do dziś. Statek

pływał na Spitsbergen dwa razy w roku. Na początku lata wioząc nową ekipę, paliwo i część żywności oraz zabierając grupę poprzednich zimowników i na jesieni, w drugim rejsie, przywożąc nową porcję żywności, głównie owoców i warzyw, oraz zabierając tzw. grupę letnią. W grupie letniej 1979 roku znalazł się Witek Mizerski, który rozpoczął prace nad mapą okolic stacji w skali 1:2 500. Założył osnowę geodezyjną i zrobił szereg zdjęć naziemną kamerą fotogrametryczną zlewni Fugleberget. W kolejnych latach prace nad mapą kontynuowali Staszek Dąbrowski i Seweryn Mroczek. Ja też wziąłem udział w tych pomiarach w czasie letniej wyprawy w 1982 roku. Mapa, w postaci odbitek ozalidowych, służyła do różnych prac technicznych i badawczych, a zmniejszona do skali 1:5 000 została wydrukowana. Korzystają z niej do tej pory naukowcy i studenci różnych dziedzin.



Grupa zimująca w sezonie 1981/1982. Stoją: Ryszard Szafran (mechanik), Wojciech Moskal (oceanolog), Jacek Jezierski, Jan Marcin Węśławski (oceanolog), Sławomir Kwaśniewski, Mieczysław Sobik (meteorolog), Krzysztof Migala (geomorfolog, meteorolog). Siedzą: Jerzy Georgijewski (lekarz), Bogdan Morys (magnetyk), Witold Mizerski (kierownik, fotogrametra), Zygmunt Weydmann (sejsmolog), Andrzej Zieliński (radiooperator)

W 1981 roku Witek Mizerski, zarażony bakcylem polarnym, przyjął propozycję kierowania wyprawą PAN do stacji Hornsund. Jego zadaniem były dalsze pomiary tachimetryczne i zdjęcia fotogrametryczne naziemne dla określania dy-

namiki lodowców. Była to kontynuacja pomiarów przedwojennych Zawadzkiego i Zagrajskiego oraz późniejszych Cezarego Liperta, Tadeusza Gaertiga, Jerzego Fellmanna, Staszka Dąbrowskiego i Seweryna Mrocza.

Wyprawa Witka Mizerskiego na przełomie lat 1981 i 1982 była chyba jedną z najtrudniejszych w całej historii polskich wypraw polarnych. Jednak nie z powodu warunków atmosferycznych lub nietypowych zjawisk przyrody. To sytuacja w Polsce determinowała zachowania ludzi oddalonych od swych rodzin i niemających prawie żadnych prawdziwych informacji z kraju. Lato minęło spokojnie. Wszyscy pracowali zgodnie z planem. Na jesieni z Polski zaczęły dochodzić niepokojące wiadomości, wreszcie przyszedł grudzień i stan wojenny. W stacji zapanowała atmosfera protestu. Na korytarzu w stacji wisiała mapa Polski, na której ktoś namalował czołgi na granicy ze Związkiem Radzieckim. Polarnicy chcieli też wysłać protest do Akademii. Nie chciałbym popełniać błędów historycznych, nie będąc uczestnikiem tej wyprawy. Cokolwiek jednak miało tam miejsce, niewątpliwie wywołało ostrą reakcję władz. W rezultacie najbardziej obciążony sytuacją radiotelegrafista Andrzej Zieliński postanowił „wybrać wolność”. W czasie kolejnej wizyty Norwegów szybko się spakował i wsiadł do norweskiego śmigłowca. Słyszałem, że odbył się nad nim szybki sąd wojskowy, który wymierzył najwyższy wymiar kary. Norwegowie dobrze go jednak ukryli. Po stanie wojennym został zaś uniewinniony i mógł znowu połączyć się z rodziną. Cała grupa, pokazując światu polską religijność w czasach głębokiej laicyzacji, zbudowała na Półwyspie Wilczka, w odległości około 500 m od stacji duży krzyż z drewna dryftowego. Od tego momentu coroczna wymiana ekip i symboliczne przekazywanie sobie klucza od stacji następowało właśnie pod tym krzyżem. Odbywały się tam również modlitwy z wizytującym stację norweskim pastorem, a szczególnym wydarzeniem była wizyta prymasa Polski kardynała Józefa Glempa, który pod krzyżem odprawił Mszę Świętą.

Od 1980 roku kolejną wyprawę na Spitsbergen, planowaną na 1982 rok, przygotowywał Wojciech Krzemiński. Miałem być członkiem tej wyprawy. Stało się jednak inaczej. Wojciech Krzemiński po krótkiej i nagłej chorobie zmarł 9 kwietnia 1981 roku. Ja jeszcze nie byłem wystarczająco przygotowany do poprowadzenia wyprawy. Kierownikiem wyprawy 1982 został geofizyk Stanisław Rudowski. Jak zwykle z grupą „zimowników” przylączyła również tzw. grupa letnia. W tej grupie znalazł się Seweryn Mroczek i ja. Obaj uczestniczyliśmy w ciężkiej fizycznej pracy rozładunku statku i we wszystkich pracach gospodarczych. Patrzyłem na trudny los kierownika wyprawy, przejmującego obowiązki i odpowiedzialność za ludzi i sprzęt od poprzednika, wypełniając stosy dokumentów i protokołów. Kierownik wyprawy odpowiada za ogromny majątek zgromadzony na stacji. Musi być również dyplomatą i ambasadorem Polski. Tradycją i w dobrym tonie były wizyty kurtuazyjne zmieniających się kierowników u gubernatora Svalbardu w Longyearbyen i u konsula radzieckiego w Barentsburgu. Zapewniało to dobre stosunki i wizyty z listami zarówno Rosjan, jak i Norwegów w stacji w czasie trwania wyprawy.

Kontynuowaliśmy również pomiary geodezyjne rozpoczęte przez naszych kolegów w latach poprzednich oraz prowadziliśmy wywiad terenowy dla przyszłych pomiarów fotopunktów, koniecznych do planowanego wykonania mapy w skali 1:25 000. Seweryn robił też pomiary magnetyczne. Pojawienie się w Zatoce Białych Niedźwiedzi polskiego statku oznaczało koniec naszego pobytu. Statek przywiózł uzupełnienie żywności i zamawianych elementów technicznych i po krótkim pobycie w stacji zabrał nas i wyruszył w drogę powrotną do kraju.

Wiosną 1983 roku otrzymałem nominację na kierownika kolejnej VI Wyprawy na Spitsbergen. Na czas przygotowań i cały okres wyprawy zostałem oddelegowany do pracy w Instytucie Geofizyki PAN. Zaczął się trud zdobywania koniecznego wyposażenia stacji i żywności na cały rok dla przewidywanych 10 uczestników wyprawy. Żywnością zajmowała się znana firma Baltona zaopatrująca sklepy dla VIP-ów i marynarzy. Wyposażenie stacji i specjalistyczną odzież trzeba było „załatwić”, co nie było łatwe, nawet posiadając „glejty” z PAN-u. Trwający stan wojenny w Polsce bardzo komplikował dobór uczestników wyprawy. Część grupy technicznej otrzymałem z nadania Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Bardzo chciałem wziąć na wyprawę dobrego topografa i fotogrametrę, z którym spędziłem ponad pół roku wyprawy do stacji Dobrowolskiego – pułkownika Zbyszka Battke. Widocznie nie miał on dobrych notowań w Sztabie Generalnym WP, bo nie dostał pozwolenia na wyjazd. Mianowanie na członka wyprawy zimującej dostał za to Szymon Barna. Okazał się wspaniałym kolegą i specjalistą geodetą i fotografem amatorem. Do grupy zimującej przyjąłem również seniora polskiej polarystyki Cezarego Liperta. Po wykonaniu koniecznych badaniach, lekarze mieli trochę wątpliwości co do jego udziału w zimowaniu, ale całość badań nie wskazywała zagrożeń i w rezultacie dostaliśmy zgodę na jego udział w wyprawie.

Głównym celem wyprawy było wykonanie pomiarów terenowych fotopunktów, a następnie, korzystając ze zdjęć lotniczych norweskich, wykonanie mapy topograficznej w skali 1:25 000 okolic stacji w Hornsundzie. Było to zadanie trudne i niemożliwe do wykonania w ciągu krótkiego lata arktycznego 1983 roku. Dopiero wiosną 1984 roku przyjechali do nas dwaj oficerowie Zarządu Topograficznego Zygmunt Warchoń i Mirosław Kupczyk, którzy razem z Szymonem Barną wykonali ogromną pracę pomiaru fotopunktów w celu umożliwienia zaplanowanego wydania mapy.

W lipcu 1983 roku po załadowaniu niewielkiego statku, holownika Perkun, grupa 10 zimowników i 5 członków grupy technicznej, w której był również geodeta Zygmunt Warchoń, wypłynęła ze Skweru Kościuszki w Gdyni. Po 8 dniach podróży w warunkach sztormowych 24 lipca dotarliśmy do Zatoki Białego Niedźwiedzia w pobliżu stacji Hornsund. Ponownie doświadczyłem trudu rozładunku i przekazywania obowiązków od wyprawy Staszka Rudowskiego. Jak zwykle symboliczne przekazanie klucza do stacji odbyło się pod krzyżem na Półwyspie Wilczka. W uroczystości brali udział członkowie obu wypraw oraz Bonzo – stacyjny pies rasy husky. Był on rezydentem stacji, a jego panem kierownik wyprawy. Bonzo bardzo przeżywał coroczne zmiany ekipy, a szczegól-

nie kierownika. Na kilka tygodni przed zmianą wyczuwał utratę swojego pana. Nerwowo gryzł swoje łapy, aż w końcu robiły mu się rany i trzeba było je obwiązywać. Każdy z zimowników miał swój pokoik, a Bonzo za swoje mieszkanie zawsze wybierał pokój kierownika. Tym razem też zamieszkał ze mną. Do pokoi zimownicy przenieśli się bezpośrednio po zejściu ze statku. Poprzednicy przenieśli się do pomieszczenia wieloosobowego przeznaczonego dla grup technicznych i tzw. letnich. Po zakończeniu przeładunku i zaokrętowaniu ekipy opuszczającej stację tradycyjnie popłynęliśmy do gubernatora Spitsbergenu i radzieckiego konsula, przedstawiając nowego kierownika i dziękując za pomoc okazaną poprzedniej wyprawie. Wyprawa Staszka Rudowskiego szczególnie miała za co dziękować Norwegom. W ramach prac geologicznych prowadzonych na zboczach górskich w pobliżu stacji grupę naukowców porwała lawina śnieżno-kamienista. Zawiadomieni Norwegowie natychmiast przylecieli, udzielając pomocy. Na szczęście, oprócz silnych stłuczeń i zadrapań wszyscy wyszli z wypadku cało.

Po złożeniu dyplomatycznych wizyt statek ponownie zawinął do Zatoki Białego Niedźwiedzia. Szalupą odwieziono mnie na brzeg, a wyprawa Staszka Rudowskiego popłynęła do kraju. W stacji wrzała już praca zgodnie z planowanymi zadaniami. Grupa techniczna przystąpiła do napraw i remontów. Przygotowałem słup do obserwacji astronomicznych, zbudowany w 1958 roku przez Jerzego Jasnorzewskiego. Rozpoczęliśmy pomiary fotopunktów i zdjęcia czoł lodowców dla określenia ich zmian. W pracach tych aktywnie uczestniczył Cezary Lipert. Chodziłem z nim pod lodowiec Werenskiolda, kilkanaście kilometrów od stacji. Podziwiałem jego wytrwałość i zaangażowanie. Cezary robił tu pomiary 25 lat temu i teraz mierzył zmiany, jakie zaszły w ciągu tego okresu.

Lato mijało szybko. Grupa techniczna kończyła naprawy i porządkowanie stacji oraz przygotowywała się do powrotu. 15 października ponownie zobaczyliśmy w Zatoce znany nam statek Perkun. Przywieziono nam – zimownikom porcję warzyw i dodatkowej żywności, której nie dostaliśmy w rejsie letnim, zabierając złom, śmieci i zużyte materiały. Statek dostał zezwolenie popłynięcia do Barentsburga i Longyearbyen. Grupa techniczna i marynarze bardzo byli z tej decyzji zadowoleni. Ja popłynąłem „z urzędu” i mogłem zabrać Cezarego Liperta, który skończył już pomiary i nie miał innych ważnych obowiązków, oraz Michała Ziemiańskiego – meteorologa, którego obowiązki przejął drugi meteorolog Zbyszek Pietroń. Stacja meteorologiczna w Hornsundzie pełniła bardzo ważną rolę jako zabezpieczenie norweskich lotów śmigłowcowych. W ramach wizyty u gubernatora mieliśmy uzgodnić warunki przekazywania danych meteorologicznych oraz prowadzić rozmowy w sprawie naszej radiostacji, której działanie wciąż nie było zalegalizowane. Były to dla mnie bardzo trudne rozmowy. W Akademii nikt mi nie podpowiedział, jak mam się zachować i co mówić, a gubernator prosto w oczy mówił o wrogości komunistycznej Polski do Zachodu. W Norwegii wciąż uważali nas za część reżimu komunistycznego, niezależnie od przekonania kierowników i członków wypraw, szczególnie że w każdej z wypraw w tamtych czasach dużą część ekip stanowili wojskowi oficerowie i podoficerowie. Odniosłem jednak wrażenie, że o polarnikach ze stacji Hornsund mają nieco łagod-

niejsze zdanie, wyrobione na podstawie działalności kierowników poprzednich wypraw i relacji z wizyt w stacji urzędników gubernatora i norweskiego pastora.

Z Longyearbyen popłynęliśmy do Barentsburga. Tu rozmowy były łatwiejsze, ale trzeba było też odpowiednio się do nich przygotować. Nie wypadało przyjść do konsulatu w swetrze i butach sportowych. Obowiązywał strój oficjalny – garnitur, krawat, biała koszula. Rozmowy ułatwiało też wspaniałe przyjęcie sownie zakrapiane rosyjską wódką. Konsul obiecał wszelką pomoc w czasie zimy polarnej, chociaż wiadomo było, że radzieckie śmigłowce nie mogły latać w czasie nocy polarnej. Po zakończeniu miłej wizyty Perkun wyruszył w drogę powrotną, najpierw miał odwiedzić nas do stacji, a grupę techniczną do kraju. W odległości kilku godzin płynięcia od Barentsburga, podczas kolacji w mesie kapitańskiej, zauważyliśmy dziwne zachowanie Cezarego Liperta. Widać było, że coś mu się stało. Zaprowadziliśmy go do kajuty i zadzwoniliśmy na stację do naszego lekarza Piotra Porady. Po opisie objawów lekarz uznał, że jest to udar mózgu i kazał jak najszybciej prosić o pomoc Norwegów. Norwegowie stwierdzili, że pogoda absolutnie uniemożliwia lot śmigłowca i kazali jak najszybciej dostarczyć chorego do szpitala. Najbliżej był szpital w Barentsburgu. Kapitan natychmiast zarządził zwrot i popłynęliśmy ponownie do Rosjan. Sztorm na morzu dawał się wszystkim we znaki. Statkiem kiwało okrutnie i większość z nas musiała podróż spędzać w pozycji poziomej. Jedyne kolega z grupy technicznej Henio Machnio mógł egzystować normalnie i opiekować się Cezarym. Na kei w Barentsburgu czekała już karetka, która przewiozła Cezarego do szpitala. Lekarze orzekli, że stan chorego jest bardzo poważny. Zaaplikowali mu wszelkie dostępne lekarstwa i kazali czekać. O jego losie miały zadecydować najbliższe godziny. Z powodu pogarszających się warunków pogodowych kapitan nie mógł dłużej czekać i musiałem podjąć decyzję, czy zostaję z Michałem Ziemiańskim w Barentsburgu, czy płyniemy z powrotem do stacji. W Warszawie poradzono nam pozostanie ze względu na załatwianie różnych formalności, a Rosjanie obiecali odwiedzić nas śmigłowcem. Zakwaterowano nas w hotelu i zadbano o zaspokojenie wszystkich potrzeb. Statek popłynął już bezpośrednio do kraju. Cezary przeżył noc i lekarze mieli już większe nadzieje na poprawę jego stanu. Następnego dnia do Barentsburga przyleciał nasz lekarz Piotr Porada. Był to dzień 1 listopada i Rosjanie przygotowywali się do świętowania zwycięstwa Rewolucji Październikowej. Wszyscy trzej zostaliśmy zaproszeni do konsulatu na przyjęcie z okazji święta. Zwiedzaliśmy też całą osadę. Pokazano nam wielką szklarnię, w której na 78 stopniu szerokości północnej rosły pomidory i różne warzywa do miejscowej stółki. Była też obora z krowami dającymi mleko dla dzieci i kurnik dla kur. Oczywiście siano i paszę dla zwierząt trzeba było przywozić statkami. Wszystko było na pokaz bez względu na koszty.

Zdrowie Cezarego poprawiało się z dnia na dzień. Lekarze byli już pewni, że jego życie nie jest zagrożone. W Warszawie rozpoczęto przygotowania do przewiezienia chorego do Polski. Nasza obecność w Barentsburgu nie była już konieczna. Zaczęła się noc polarna i rosyjskie śmigłowce, ze względu na brak odpowiedniego wyposażenia, nie mogły latać w ciemności. Na obchodach święta

Rewolucji Październikowej byli również przedstawiciele gubernatora Svalbardu. Norwegowie zaferowali przewiezienie naszej trójki do Hornsundu. I tak po prawie miesięcznym pobycie poza stacją, 18 listopada powróciłem do swoich obowiązków. W tym czasie zastępował mnie Jan Krzemiński, odpowiedzialny za agregaty i stan techniczny stacji. Chyba najbardziej z mojego powrotu ucieszył się Bonzo. Koledzy przyzwyczaili się do nowego kierownika i niezbyt im się podobała nowa zamiana. Grupa podzieliła się na dwa obozy, między którymi stosunki do końca wyprawy były poprawne, ale nie wylewne. Przykładowo część zimowników miała do mnie pretensję, że pozwoliłem taternikom Zbyszkowi Pietroniowi i Piotrkowi Poradzie na próbę zimowego wejścia na najwyższy szczyt Spitsbergenu – Hornsundtind. Był z nimi również Wojtek Moskal zimujący samotnie, za zgodą gubernatora, w domku traperskim. Jego zadaniem było liczenie przechodzących niedźwiedzi polarnych. Głównym argumentem osób wysuwających pretensje było pozbawienie pozostających w stacji opieki lekarskiej. W rezultacie wyprawa skończyła się nieszczęśliwie już na samym początku. Zbyszek Pietroni źle dopasował sobie raki i na lodowcu Hansa w odległości kilku kilometrów od stacji, poprawiając je, odmroził sobie palce prawej ręki. Dobrze, że był z nim lekarz, bo natychmiastowa fachowa pomoc pomogła zachować rękę. Czubków dwóch palców nie udało się jednak uratować, a Zbyszek musiał leżeć przez ponad miesiąc.

Z powodu ciągłej ciemności nocy polarnej rozregulował się nasz zegar biologiczny. Jedni pracowali w nocy i hałasowali, przeszkadzając kolegom, którzy chcieli spać. Musiałem wydać nakaz przychodzenia na posiłki o normalnych dziennych porach. Nie wszystkim to się podobało, ale na posiłki przychodzili i szli spać.

Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku obchodziliśmy bardzo uroczystie. Były wszystkie tradycyjne dania. Do zrobienia ryby w galarecie wypłukiwaliśmy żelatynę ze słodkich galaretek. Choinkę dostaliśmy od Norwegów i tradycyjnie zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie.

Gdy przyszła wiosna, na stacji zaczął się ruch. Poza systematycznymi odwiedzinami gubernatora, wraz z pokazaniem się Słońca nad horyzontem zaczęli przylatywać Rosjanie. Były wizyty bardziej lub mniej oficjalne. Zawsze staraliśmy się gościć ich serdecznie. Od pastora norweskiego dostałem kilkadziesiąt egzemplarzy Biblii wydanej w języku rosyjskim. Prawie wszyscy odwiedzający nas Rosjanie przychodzili do mojego pokoju i w tajemnicy przed innymi prosili o Biblię. Wiele z wizyt zarówno norweskich, jak i rosyjskich miało charakter dyplomatyczny. Był u nas konsul generalny Barentsburga S. Łuzan i wicekonsul D. Pietrow, dyrektor trustu Arktikugoł Wołkow, lekarz naczelny szpitala F. Bajraczan i wielu innych radzieckich oficjeli. Wizyty norweskie były mniej spektakularne i znacznie mniej zakrapiane, choć równie serdeczne i życzliwe. Oprócz gubernatora mieliśmy wizytę pani minister sprawiedliwości Norwegii M. Roekke oraz inspektora łączności radiowej pani T. Oevre. Na zaproszenie konsulatu i dyrekcji Arktikugoł, wraz z dwoma kolegami Piotrkim Poradą i Szymonem Barną, poleciliśmy radzieckim śmigłowcem do Barentsburga na obchody 1 Maja. Po-

nownie trzeba było być dyplomatą i zachować się zgodnie z wymogami protokołu dyplomatycznego. Posadzono mnie na honorowym miejscu w prezydium i poproszono o wygłoszenie przemówienia po rosyjsku. W lokalnej gazecie ukazało się później moje przemówienie i artykuł o stacji zatytułowany *Polski Dom*



Grupa zimująca VI Wyprawy. Stoją: Michał Ziemiański (meteorolog), Krzysztof Adamski (sejsmolog), Piotr Porada (lekarz), Grzegorz Gregorczyk (magnetyk), Zbigniew Pietroń (meteorolog). Siedzą: Jacek Wielocha (radiooperator), Jan Krzemiński (mechanik), Jan Cisak (kierownik, geodeta), Szymon Barna (geodeta)

na Spitsbergenie. Do „domu” wróciliśmy 4 maja. Coraz dłuższe i coraz cieplejsze dni pozwoliły na rozpoczęcie pomiarów geodezyjnych, które nabrały tempa po przylocie Zygmunta Warchoła i Mirosława Kupczyka. Przywieźli ich Norwegowie oblatujący wyspę w poszukiwaniu zaginionego turysty. Okazało się, że Mirek ma zdolności telepatyczne i na mapie pokazał prawdopodobne miejsce zaginięcia turysty. Później dowiedzieliśmy się, że w pobliżu wskazanego miejsca znaleziono coś, co należało do turysty. On sam prawdopodobnie zginął w szczelinie lodowca.

Stację zaczęli odwiedzać naukowcy z różnych ośrodków naukowych w Polsce i na świecie. Ponad dwa miesiące w stacji mieszkała trójka ornitologów amerykańskich. Stację odwiedzali peryglacjolodzy ze Szwajcarii, ornitolodzy z Holandii, filmowcy z Norwegii i Węgier, turyści i alpiniści z różnych stron. Przez 2 miesiące mieszkał w stacji profesor Stanisław Siedlecki, nestor polskiej polarystyki. Przez 10 dni gościliśmy 8-osobową ekipę Ryszarda Schramma opływającą

Spitsbergen na łodziach motorowych. Zaczęły też przyjeżdżać grupy letnie z różnych szkół wyższych oraz z Instytutu Ekologii PAN z prof. R. Klekowskim i prof. Zofią Fisher. Po długiej i spokojnej nocy polarnej życie w stacji zupełnie się odmieniło. Trudno było niektórym kolegom przyzwyczać się do gwaru i bieganiny. Dodatkowo pojawiło się „widmo głodu”, czyli odczucie, że dla nas zimowników zabraknie jedzenia. Wstyd mi było wobec naszych gości, którzy widzieli niezadowolenie. Myślę, że podejrzewali u nas oznaki tzw. choroby polarnej.

Wyprawa dobiegła końca. Na horyzoncie ukazał się statek i zaczęło się to samo, co przed rokiem. Znowu Bonzo gryzł łapy, a wszyscy ciężko pracowali przy rozładunku i załadunku. Podobnie wyglądała również wizyta w Longyearbyen i Barentsburgu. Ja też miałem za co dziękować i Rosjanom, i Norwegom. Uratowali przecież życie Cezaremu, a nas za darmo wozili śmigłowcem. Do kei w Gdyni Jantar, bo tym razem tak nazywał się statek, którym płynęliśmy, zacumował 24 sierpnia 1984 roku. Ku naszemu zdumieniu w Gdyni witał nas Cezary Lipert, który wyszedł z ciężkiej choroby prawie bez szwanku. Był też Jerzy Jasnorzewski, którego maszynopis książki miałem na wyprawie i wszyscy go przeczytali. Wiele z opisanych w niej zachowań polarników było bardzo podobnych również do zachowań uczestników naszej wyprawy.

Po powrocie koledzy z Zarządu Topograficznego W.P. na podstawie norweskich zdjęć lotniczych z 1960 roku i prac w ramach wyprawy opracowali 10 arkuszy mapy topograficznej w skali 1:25 000 obszaru fiordu Hornsund. Mapa prezentowała się bardzo ładnie i miała być naszą wizytówką i służyć zarówno Polakom jak i Norwegom. Do dziś nie rozumiem stanowiska PAN o konieczności wprowadzenia nowych polskich nazw na tę mapę obrazującą przecież teren pod protektoratem norweskim. To był ogromny błąd, bo mapa nie została uznana przez Norwegów, a Polsce zakazali jej rozpowszechniania. Nasza ciężka praca poszła na marne.

Stację Hornsund odwiedziłem jeszcze raz w 1986 roku w ramach jesiennego rejsu statku dostarczającego żywność zimownikom. Byłem tylko osobą towarzyszącą głównemu bohaterowi tego rejsu – Jerzemu Jasnorzewskiemu. Skończył on właśnie 80 lat i z tej okazji Instytut Geodezji i Kartografii wspólnie ze Stowarzyszeniem Geodetów Polskich zorganizował uroczystą sesję naukową, której efektownym zakończeniem było umożliwienie panu Jerzemu zobaczenie Spitsbergenu i stacji po prawie 30 latach od czasu jego pierwszej wyprawy. Mieliśmy również mały program naukowy. Mieliśmy zmierzyć różnice wysokości między poziomem morza a najwyższymi położonymi kawałkami drewna dryftowego oraz ocenić wiek tego drewna metodą węgla C14. Dałoby to możliwość określenia prędkości wypiętrzania się Skandynawii. Ze względu na wykorzystanie drewna przez traperów trudno było znaleźć odpowiedni pień, który dawałby pewność, że od wyrzucenia go przez morze pozostawał na tym samym miejscu i nie był przeniesiony przez wiatr czy inne czynniki.

Kolejną wyprawą polarną na Spitsbergen, w której brał udział, a ponadto był jej kierownikiem pracownik IGIK, była X Wyprawa do stacji Hornsund Staszka

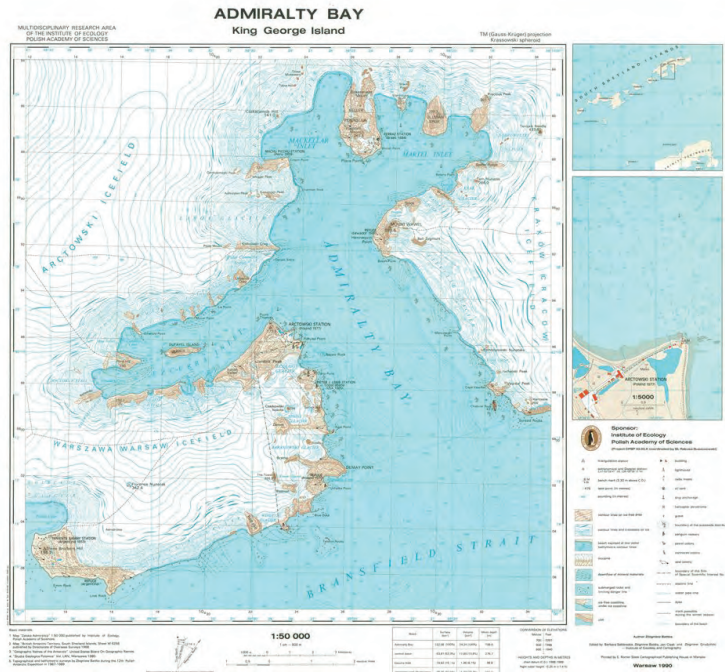
Dąbrowskiego, na przełomie lat 1987 i 1988. Byłoby nietaktem pisać o wyprawie kolegi, który może to zrobić sam, osobiście przeżywając wydarzenia wyprawy, tak jak ja opisałem swoje. Odsyłam, więc czytelników do kolejnego artykułu opracowanego przez dr. Stanisława Dąbrowskiego, w którym bardziej szczegółowo opisuje swój udział w wyprawach 1980 i 1987 roku.

Lata 80. przyniosły rozwój dopplerowskich pomiarów satelitarnych. W Polsce w Instytucie Lotnictwa przy współpracy Politechniki Warszawskiej powstał Dopplerowski Odbiornik Geodezyjny. Egzemplarz jego 3 wersji *DOG3* stał się własnością IGiK. W programie naukowym letniej wyprawy do antarktycznej stacji Arctowskiego w sezonie 1988/1989 znalazł się udział stacji w międzynarodowej kampanii dopplerowskiej. Z odbiornikiem, na statku m/s Garnuszewski, popłynęło dwoje pracowników IGiK – Maria Dobrzycka i ja. Antenę odbiornika umieściliśmy na dachu budynku szklarni i dowiązaliśmy ją geodezyjnie do punktu Jasnorzewskiego. W wyprawie uczestniczył wspomniany już Zbyszek Battke. Jego zadaniem było wykonanie pomiarów służących opracowaniu mapy Zatoki Admiralicji w skali 1:50 000. Oczywiście po zainstalowaniu aparatury dopplerowskiej pomagaliśmy Zbyszkowi w jego pomiarach. Opracował on i wydał mapę w 1990 roku.

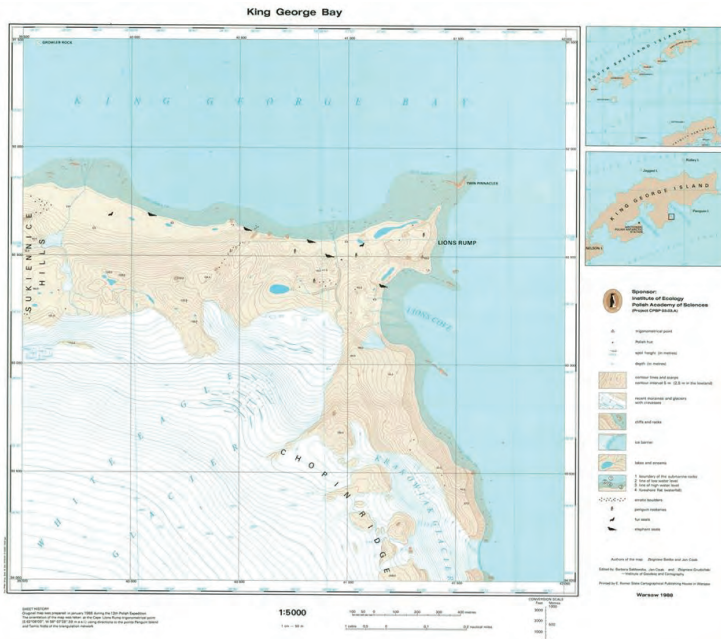


Geodeci na Stacji Arctowskiego: Jan Cisak, Maria Dobrzycka, Paweł Madejski (z poprzedniej wyprawy) i Zbigniew Battke

Próbowaliśmy również wykonać pomiar pozycji słupa z obserwacji Słońca. Powtórzyła się jednak sytuacja pogodowa z czasu pobytu Jerzego Jasnorzewskiego. Praktycznie przez cały okres pobytu nie udało się wykonać pełnej serii obserwacyjnej.



Mapa Zatoki Admiralicji i okolic Stacji Arctowskiego



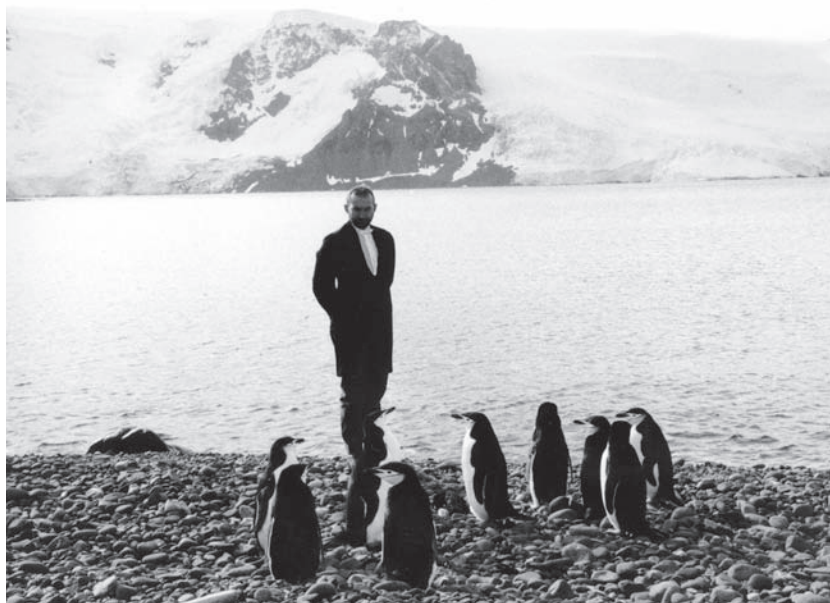
Mapa topograficzna Przylądka Lions Rump w Zatoce Króla Jerzego

Na życzenie prof. Stanisława Suszczewskiego Zbyszek i ja popłynęliśmy na cypel zwany Lions Rump od strony Zatoki Króla Jerzego. Jest to obszar zamieszkały przez wiele gatunków ptaków, fok i słoni morskich. Potrzebna była mapa tego rejonu, aby można było go uznać za obszar specjalnie chroniony (Antarctic Special Protected Area – ASPA). W ciągu tygodnia pobytu w tym odludnym miejscu wykonaliśmy pomiary na stoliku topograficznym, z których po opracowaniu powstała mapa w skali 1:5 000.

Z wyprawy wróciliśmy tym samym statkiem, który w czasie naszego pobytu przewiózł materiały do budowy hiszpańskiej stacji Juan Carlos, na wyspie Livingston, a grupa techniczna wraz z marynarzami stawiali budynki stacji.

Sukces udziału polskiego odbiornika dopplerowskiego w międzynarodowej kampanii pomiarowej skłonił Instytut do wysłania odbiornika na stację w Hornsundzie i wykonanie pomiaru na punkcie Jasnorzewskiego. W 1990 roku, również w ramach kampanii międzynarodowej, na stację popłynął Zbyszek Drożdżewski – pracownik IGiK. Była to krótka wyprawa. Jego pobyt trwał około dwóch tygodni, w czasie rozładunku i załadunku statku.

Prawdziwą rewolucję w geodezji przyniósł Globalny System Pozycjonowania – GPS NAVSTAR. W ramach międzynarodowej organizacji Scientific Committee on Antarctic Research – SCAR powstał program Geodetic Infrastructure of Antarctica – GIANT, którego celem była koordynacja działań różnych państw posiadających stacje w Antarktyce w dziedzinie geodezji. Jednym z zadań było organizowanie kampanii GPS i stworzenie międzynarodowej osnowy trójwymiarowej. Wykonanie pomiaru GPS na stacji Arctowskiego powierzono Insty-

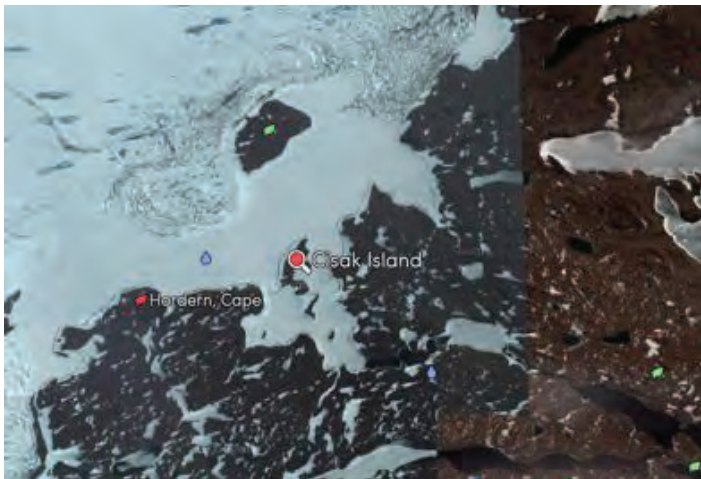


Marcin Sękowski we fraku wśród kolegów pingwinów

tutowi Geodezji i Kartografii. Do udziału w wyprawie oddelegowany był Marcin Sękowski. Na stacji przebywał od grudnia 1998 do końca marca 1999 roku. Na punkcie Jasnorzewskiego założył automatyczną stację GPS pracującą w trybie ciągłym. Ponadto wykonał pomiary na punktach sieci lokalnej i pomiary RTK na potrzeby „inventaryzacji” struktur biologicznych. Przed wyprawą pomyślał o zrobieniu sobie zdjęcia z pingwinami. Wypożyczył frak i w ten sposób upodobił się do tych śmiesznie chodzących ptaków, które z zainteresowaniem patrzyły na wysokiego kolegę

Koniec lata wymógł zakończenie pomiarów i pobytu Marcina na stacji Arc-towskiego. Zabrali go Rosjanie na statku turystycznym m/s Multanovskij, który płynął do niemieckiego portu Bremerhaven. Do kraju przywozłem go wraz ze sprzętem własnym samochodem.

O profesjonalizmie i perfekcjonizmie Marcina Sękowskiego w pomiarach GPS rozeszła się fama wśród polarników i w 2000 roku prof. Kazimierz Pękała organizujący wyprawę Uniwersytetu w Lublinie do stacji Calypsoben w Bel-sundzie zaprosił Marcina do wzięcia udziału w jego wyprawie. Zadaniem były pomiary fotopunktów do ortofotomapy 1:25 000 północno-zachodniej części Ziemi Wedela Jarlberga oraz pomiary RTK na potrzeby „inventaryzacji” struktur geomorfologicznych. Na Spitsbergen dotarli na statku Horyzont wraz z wyprawą PAN, natomiast drogę powrotną odbyli na norweskim statku handlowym do Tromsø, potem samochodem przez całą Norwegię i Szwecję oraz promem do Gdyni.



Północno Zachodnia część Oazy Bungera z zaznaczoną Wyspą Cysaka

To była ostatnia wyprawa polarna, w której brał udział przedstawiciel Instytutu Geodezji i Kartografii. Pozostała nam działalność w organizacjach krajowych i międzynarodowych. Po Wojtku Krzemińskim odziedziczyłem przedstawicielstwo w Grupie Roboczej SCAR – Working Group on Geodesy and Geodetic Information. Brałem udział w sympozjach SCAR oraz zorganizowałem semina-

rium Grupy Roboczej SCAR w Warszawie w 2001 roku. Moje zaangażowanie docenili Australijczycy, nadając nazwę małej wyspie w Oazie Bungera od mojego nazwiska. Nazwę zatwierdził australijski urząd do spraw nazw geograficznych i podpisał minister.

Literatura

- Cisak J., (1980): *Polscy naukowcy na szóstym kontynencie*, Horyzonty Techniki, nr 5, s. 15–17.
- Cisak J., (1984): *VI wyprawa polarna „Spitsbergen 1983/84” i jej program naukowy*, Biul. Inf. BOINTE IGiK, nr 5-6, s. 19–36.
- Cisak J., (1985): *The VI-th Polar Expedition „Spitsbergen 1983/84”*, Polish Polar Research, T. 6, nr 4, s. 595–612.
- Cisak J., Mizerski W., (1985): *Udział IGiK w badaniach polarnych (Sesja naukowa z okazji 40-lecia działalności IGiK)*, Biuletyn Informacyjny BOINTE IGiK, T. 30, nr 1-2, s. 75–78.
- Cisak J., Jasnorzewski J., (1988): *Próby pomiaru dynamiki Spitsbergenu w rejonie fiordu Hornsund*, Biuletyn Informacyjny BOINTE IGiK, nr 4, s. 18–22.
- Cisak J., Dąbrowski S., (1989): *Polskie prace geodezyjne i kartograficzne w badaniach geodynamicznych Arktyki i Antarktyki*, Biuletyn Informacyjny BOINTE IGiK, nr 4, s. 35–13.
- Cisak J., Battke Z., Dobrzycka M., (1989): *Prace geodezyjne wykonane w czasie XII rejsowej wyprawy do stacji im. Henryka Arctowskiego w Antarktyce*, Prace IGiK, nr 1-2, s. 111–122.
- Cisak J., Dąbrowski S., (1990): *Polish geodetic and cartographic studies in the Arctic and Antarctic regions*, Polish Polar Research, nr 3-4, s. 411–417.
- Cisak J., Jażdżewski K., (1990): *Jerzy Lech Jasnorzewski*, Polish Polar Research, vol. 11, nr 1-2, s. 207–209.
- Cisak J., (2011): *Nie byliśmy bez opieki. W przeddzień beatyfikacji Ojca Świętego Jana Pawła II*, Geodeta, nr 4, s. 68–69.
- Jasnorzewski J., (2009): *Spitsbergen bez retuszu*, Kraków, Wydaw. Premium Partner, 142 s.
- Dąbrowski S., Mroczek S., (1980): *Prace geodezyjne i fotogrametryczne na polarnej wyprawie naukowej PAN – Spitsbergen, lato 1980*, Biuletyn Informacyjny BOINTE, T. 25, nr 6, s. 37–41.
- Dąbrowski S., Lipert C., (1984): *Dynamika lodowca Hansa (Spitsbergen Zachodni) w latach 1936–1980*, Prace IGiK, nr 1, s. 71–81.
- Dąbrowski S., (1985): *Spitsbergen. Polish Polar Station in Hornsund*, Polish Polar Research, T. 6, nr 4, s. 579–582.
- Dąbrowski S., Kurczyński Z., (1990): *Roczna dynamika strefy czołowej Lodowca Hansa (1987–1988)*, Prace IGiK, nr 1–2, s. 109–130.
- Dąbrowski S., (1996): *Fotogrametria cyfrowa i wideo(foto)grametria w badaniach rejonów polarnych*, Biuletyn Informacyjny BOINTE, nr 1–2, s. 21–25.
- Furmankiewicz-Szeląg A., (2013): *Polski wkład w badania polarne*, Geodeta, nr 7, s. 7–7.